Rok 1937 3 października Nr 40

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Z drogi błędnej — na drogę prawdy

Żył swego czasu pewien młodzieniec nazwiskiem Garudi, który chociaż z pochodzenia był Tatarem, wstąpił do chińskiego klasztoru wyznawców Buddy i niebawem został „lamą“ czyli mnichem. Nie mając jeszcze dwudziestu lat, wybrał się w pobożną pielgrzymkę do jednej z najsławniejszych świątyń buddyjskich.

Każdy czciciel Buddy podczas takiej pielgrzymki, chociażby droga jego była jak najdalsza, musi co krok paść i czołem uderzyć o ziemię. W tym celu ma przymocowane do rąk deszczułki, a z przodu zawieszony gruby fartuch skórzany.

Po ośmiu miesiącach młody pątnik chiński był już zupełnie wyczerpany z sił, a do celu pielgrzymki było jeszcze bardzo daleko. Męczarnia jego nie prędko miała się skończyć.

Ale Opatrzność, która wie i pamięta o każdym stworzeniu, zesłała mu na drogę ziemskiego anioła w osobie znanego tam wszędzie O. Gabeta z zakonu Łazarzystów, który litując się nad męką pobożnego młodzieńca, wytłumaczył mu całą jej bezowocność i wskazał inną, prawdziwą drogę, którą pójść powinien. Pielgrzym buddyjski zrozumiał i przyjął radę świątobliwego misjonarza: został katechumenem i przyjął chrzest święty.

Nie dosyć jednak na tym. Pragnieniem jego nieodwołalnym — skoro już doznał łaski oświecenia — było: zostać księdzem. Po odbyciu nauk teologicznych wstąpił do zakonu OO. Łazarzystów i został misjonarzem. Zwrócił odrazu swe kroki apostolskie do swoich ziomków-Tatarów, a przede wszystkim do swej rodziny, lecz tu spotkał go zawód zupełny. Oddał się tedy pracy wśród Chińczyków i wielu z nich przywiódł do owczarni Chrystusowej.

Zmarł wśród podróży misjonarskiej w jakimś domu zajezdnym w Chinach, nie przypuszczając z pewnością, że upłynie blisko sto lat, zanim z grona rodaków jego wynijdzie nowy kapłan katolicki. A jest nim właśnie ów ksiądz Jan, o którym pisał „Dzwoneczek“ w numerze 37, wspominając, jak bardzo trudną jest rzeczą nawrócić Mongołów.

Kto nie zna...

Kto nie zna imienia św. Franciszka?! Kto nie słyszał o tym płomiennym miłośniku Boga i ludzi? Kto nie zna przedziwnej drogi jego życia, które od nizin światowych pięło się coraz wyżej i wyżej poprzez kamienie i ciernie najstraszliwszych utrapień — aż do szczytów doskonałości?...

Kto nie zna jego mocy miłosnej nad wszelkimi tworami przyrody, jego serdecznych rozmów z ptaszkami, jego braterskich przestróg dawanych okrutnemu wilkowi?...

Kto nie słyszał o jego pieśniach zachwytu nad złocistymi gwiazdami i słońcem... Kto nie wie, iż wszystko, co tylko wyszło z pod wszechmocnej ręki Bożej, było mu siostrą i bratem, było mu przyjacielem i dzieckiem najmilszym...

Któż nie wie o jego ukochanym kościółku „**Porcjunkuli**“, o tej „**Cząsteczce**“

maleńkiej, jaką wzniósł własnymi rękami z ruin i zapomnienia ku czci Bogarodzicy i zamienił w błogosławiony przybytek łask...

Któż nie słyszał o wybranej przezeń górze Alwernii, gdzie w rozmodleniu najgłębszym doznał przebolesnej łaski świętych stygmatów, jakimi najwierniejszego sługę swego obdarzył Ten, który sam dla odkupienia ludzkości rozpiął na krzyżu ciało swoje, oblane krwią przenajświętszych ran.

Wybrany przez Pana, przeszedłszy drogę swej ziemskiej wędrówki, śpiewa teraz święty Franciszek wśród chórów serafinów i cherubinów wiekuistą chwałę u stóp Bożego Tronu, wstawiając się za swymi braćmi i siostrami na ziemi.

*

Św. Franciszek na naszej rycinie z witrażu w kościele Franciszkanów w Krakowie — to dzieło poety-malarza Stanisława Wyspiańskiego, należące do najsławniejszych obrazów sztuki religijnej w Polsce. W tych dniach właśnie tłumy wiernych wpatrują się w tak przedstawioną przez Wyspiańskiego postać świętego Biedaczyny z Assyżu na szkle okiennym, w czasie uroczystości związanych z 700-leciem istnienia tegoż zakonu Franciszkanów.

W tym samym kościele resztę okien nad wielkim ołtarzem stanowią również witraże malowane przez Wyspiańskiego, a między nimi jeden przedstawia świętą Salomeę. Na przeciwnym krańcu kościoła, nad chórem wielkie okno malowane przez tego artystę wyobraża Boga Ojca jako Stwórcę świata.



Św. Franciszek z Assyżu.

Obraz St. Wyspiańskiego

Święty Franciszek i myszka

Przyszła mała polska myszka
Do świętego Franciszka.
— Naści, myszko, troszkę chleba,
Nic ci więcej nie potrzeba?
Nic nie trzeba, nic nie trzeba,
Prócz kruszynek tego chleba,
Chleb ten dały polskie łany
Krzyżem świętym on żegnany.

O żołnierzu, który dostał gwiazdkę z nieba

Źle mu było żyć na świecie. Każdy dzień wciąż smutki plecie, i sierocą smutną dolę. Od łez ciągłych oczy bolą. W niewygodzie, pracy, głodzie biegły lata... Nie miał siostry ani brata, ani ojca, ani matki, ani pola, ani chatki.

Aż do wojska go zabrali, w mundur szary przyodziali.

Tu mu też nie dobrze było, bardzo źle się powodziło; każdy go wyśmiewa, łaje, że ostatni w zbiórce staje.

Sam pan kapral czyni krzyki, że nie błyszczą się buciki, że „Oferma" do niczego i nie było końca złego.

Od niedzieli, do niedzieli nasz Oferma siedział w celi. Siedział biedak wciąż w areszcie i nie wiedział za co wreszcie.

Cela była ciemna, długa, tylko słońca wąska smuga, przez maluteńkie okienko wpadała wstążeczką cienką.

Na okienku grube kraty, a za oknem kwitną kwiaty; pachną błonia, żołnierze ćwiczą na koniach.

To truchcikiem, to galopem, koń za koniem, chłop za chłopem. To znów maszerują w mierze, — gwiazdki zdobią im kołnierze.

Oferma łzą rosi ścianę...

— Już ja gwiazdki nie dostanę...

Aż nagle wybuchła wojna, bardzo wielka, niespokojna.

Już Oferma nie jest w celi, już go do kompanii wzięli:

Już z kompanią maszeruje, z kolegami przyśpiewuje.

Ma karabin, niesie plecak, słonko w oczy mu przyświeca.

Idzie z wojskiem dniem i nocą, raz im gwiazdy drogę złocą, raz słońce użycza blasków. Spoczywali w cieniu lasków.

W końcu kraju u „Starych Drogach" napotkali wojsko wroga... Bój rozpoczął się zażarty, trwał dzień drugi, trzeci, czwarty, cztery noce. Starły się dwie równe moce.

Śmierć chodziła po okopach i zbierała plony w chłopach. Czaiła się cicho boso, w długiej szacie z ostrą kosą.

Padli wszyscy towarzysze.

Cisza przyszła przed wieczorem, śmierć spoczęła gdzieś za borem. — Śmierć co wszystkich zabijała, o Ofermie zapomniała.

Chodził polem nocką ciemną, budził martwych nadaremno. Potem smutnie siadł nad rowem i pochylił nisko głowę.

Siedział długo w wielkiej ciszy, opłakiwał towarzyszy. Siedział długo z własnym bolem, potem poszedł krwawym polem, poszedł śmiało w „Starych Drogach" szukać wroga...

Szedł samotnie w głuchej ciszy pomścić śmierć swych towarzyszy.

Szedł samotny prędkim krokiem, skrajem łączki, pola bokiem, koło lasu szybko bieży, — a tu — Wódz Naczelny leży...

Sam na błoniach, co spadł z konia w czasie bitwy.

Oferma nad nim się schylił, rękaw bluzy mu odchylił. W piersiach rana, krew z niej bucha. Czy oddycha — żołnierz słucha...

Wódz Naczelny jęczy z cicha, — bardzo słabo już oddycha.

Co to będzie, kto pomoże...

Ratuj Wodza, Mocny Boże!

Niedaleko wody smuga, toczy krystaliczna struga.

Żołnierz nabrał wody w dłonie i pokropił wodza skronie. Kilka kropel wlał mu w usta i obwiązał ranę chustą.

Aż tu drogą hen na prawo, biegną z łukiem, z wielką wrzawą wojska wroga, czerni się od koni droga.

Już Oferma wodza niesie i ucieka z nim po lesie...

Patrol wroga go dogania, Oferma Wodza zasłania własnym ciałem...

Okiem jasnym, ale śmiałym w okrąg spoziera ponuro, strzela dołem, potem górą, trafnie strzela i celuje, kul napróżno nie marnuje.

Patrol wroga blisko pędzi, już na lasu jest krawędzi.

Pędzi szybko z całej mocy, krzyczy z dala przeraźliwie, żołnierz modli się żarliwie:

Boże pośpiesz ku pomocy,
Niechajże nie zginie w nocy.

Patrzy, a tu środkiem błonia, pędzą ułani na koniach. Proporczyki łopcą, szable w nocy im błyskają... Wojsko wroga rozpędzili, poza lasek wypędzili. Wodza zabrali na konia i odjechali za błonia.

A Oferma zapomniany został w lesie krwią zalany. Leżał sobie na polanie, wzdychał: Ześlij mi śmierć Panie!

Okiem wodził po błękicie, kończył smutną dolę — życie.

Zobaczyła śmierć żołnierza mała gwiazdka na niebiosach, na promieni spadła włosach i siadła mu na kołnierzu. Oświecała mu twarz blaskiem, — siała światło ponad laskiem.

Śpij żołnierzu, śpij spokojnie,
Po złym życiu, po złej wojnie,
Nic ci więcej nie potrzeba,
bo ci gwiazdka spadła z nieba.

Żołnierz leży na polanie, a tu słychać wielkie granie. Leśną drogą wojsko jedzie, Wódz Naczelny wszystkich wiedzie. I z kapelą i z paradą po Ofermę wszyscy jadą. Wiozą szczerozłoty, długi, dla Ofermy krzyż zasługi.

Żołnierzowi nic nie trzeba,
bo mu spadła gwiazdka z nieba.

Wojsko długo nad nim grało, mogiłę mu usypało. — Płakał nad nim Wódz Naczelny, mówił: żołnierz to był dzielny!

Nic mu więcej nie potrzeba,
Bo mu gwiazdka spadła z nieba.

St. Nowakówna.

W otchłaniach wód

(Ciąg dalszy).

W głębinie 747 metrowej ukazała się ryba na 6 m. długa, o kształcie zupełnie owalnym. Uważano ją za małego wieloryba. Jeszcze niżej zauważono rybę która na całej swej długości pokryta była świecącymi punktami. Raz wypłynął nagle z toni mały raczek i uderzywszy o szybę okienną wypuścił jakby błyskawicę światła w postaci cieczy, którą oślepił licznych swoich wrogów, by samemu skryć się w ciemnościach.

Ciekawe doświadczenie zrobił Beebe podczas jednej ze swych wypraw podwodnych. Oto przed zanurzeniem batysfery uwiązał na haku przy oknie żywego homara (rak morski), sądząc, że zginie on rychło pod ciśnieniem wody, a zmiażdżone jego ciało stanie się przynętą dla różnych zwierząt głębinowych, które uczony chciał ściągnąć jak najbliżej dla obserwacji. Tymczasem homar odbył szczęśliwie podróż do głębokości 700 metrów i wrócił zupełnie zdrów na powierzchnię, a gdy go umieszczono w akwarium, okazał się o wiele żwawszym niż był przed podróżą. Widocznie nie jest dla tych zwierzątek niebezpieczną nawet tak wielka głębina, mimo, że żyją one przeważnie w wyższych okręgach wodnych.

Poza obserwowaniem świata zwierzęcego, wiele też uwagi poświęcił uczony amerykański badaniom, jak daleko w głąb oceanu sięga światło słoneczne.

Otóż z każdą następną minutą zanurzania się batysfery w wodną otchłań, przed oczyma zamkniętych w niej ludzi zanikała coraz bardziej światłość dzienna. Oto widzą oni jeszcze jak dokoła szyb kwarcowych tworzy się piana z poruszonej masowo wody, a już w następnej chwili jakieś miłe, ale ciemnawe światło wypełnia wnętrze ich stalowej klatki. Pozwala ono jeszcze rozróżniać zarysy stojącego ponad ich głowami statku, niebawem już tylko cień jego majaczy im przed oczyma, wreszcie znika zupełnie, i dwaj przyjaciele zostają sami w jednolitej, zielonej toni oceanu.

(Ciąg dalszy nastąpi).